Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego"

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej.
Wychodzi co niedzielę
Nr. 36. Grudziądz. 29 września 1923 Rok 2

Do Kochanych Korespondentów i Czytelników „Swiatka Młodzieży".

Wielu z Was, moi młodzi Przyjaciele, czytało zapewne w 219 n-rze „Głosu Pomorskiego", nadesłaną odezwę wspaniałomyślnych Studentów — Młodzieży Polskiej — która wzywa Was wszystkich, młodszych i starszych Kolegów i Koleżanki, abyście zwrócili uwagę na „**Wielki Tydzień Kresowy**", który odbędzie się w całej Polsce — w celu zebrania funduszów na niesienie oświaty i przepojenie duchem Matki—Polski — ludności naszej na Kresach. Wiem, że nie potrzebuję zbytnio wysilać się i dobierać górnolotnych słów i zdań, aby Wam znaczenie niesienia tej tam oświaty — wytłumaczyć. Młode, wrażliwe Wasze serduszka, pełne umiłowania swej Ziemi, odczują wszystko same, same dośpiewają sobie w duszy — wezwania i te słowa niedomówione!..

Otóż prosto, ale mocno piszę do Was — Kochana nasza Młodzieży — i nawołuję szukajcie sami **kwestarek** i **puszek** w tym jednym tylko dniu kwesty tutaj — w **dniu 30 września, w Niedzielę**, a grosze swoje nieście bez grymasu na twarzy — ofiarnie — sami z siebie! Nie jedno z Was ma, bowiem własną, zaoszczędzoną sumkę. Urządźcie też zbiórkę w szkołach Waszych z pozwoleniem władzy, a potem, w niedzielę o godz. 3-ej śpieszcie wszyscy, którym Rodzice pozwolą, na zabawę, urządzoną dla Was— w salach Hotelu Warszawskiego. Chętnym tym datkiem wykażecie, że **„Matka" nasza** — ma synów i córy, na których zawsze liczyć może, zdolnych zawsze do poświęceń i dzielnych — w mocy Jej odbudowy i odrodzenia. „Bo wszystkie członki, choć ich wiele jest — są wszakże jednem ciałem", mówi Ewangielista, a **nasz** król pieśni — Adam dodaje:

„Bo ja Ojczyzny być muszę
Duchem, stróżem i patronem
I wyżej porywać dusze
I żadną plamą nie skalać
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny!

Wasza **Iskierka**

Ogień co zbawia.

(Nowelka Japońska).

Był ongi, na jednej z wysp japońskich, staruszek, który posiadał maleńki domek na skłonie góry. Wokoło, jak okiem sięgnąć, rozciągały się plantacje ryżu: wzdłuż brzegu morskiego, wpośród gór zieleniejących i olbrzymiego mórz szafiru; plantacje te należały do ludności, zamieszkującej sąsiednią wioskę, wzdłuż plaży morskiej tak wąskiej, że zaledwie starczyło miejsca na domeczki, dlatego też wieśniacy założyli swe plantacje na zboczach góry, skąd wypływały czysto górskie potoki.

Rankiem i wieczorem dziadunia z wnuczkiem, który się z nim chował, widzieli, jak ludzie kręcili się po jednej ulicy wioskowej i dokoła domostw. Chłopiec miłował plantacje, bo wiedział, że one żywią ludność całą; pomagał też gorliwie dziadkowi w pracy jego, otwierał lub zamykał śluzy kanałów irygacyjnych, polował na ptaki żarłoczne w czasie zbiorów itd.

Pewnego dnia, kiedy ryż już dojrzewał, a piękne wiechy falowały na słońcu, dziadek, stojąc przed domem, patrzał wdal okiem badawczym. Nagle na skraju widnokręgu, ujrzał coś niebywałego. Coś w rodzaju chmury wielkiej, podnosiło się tam z głębi wód, jak gdyby morze rwało się ku niebu.

Stary rękę podniósł do czoła, by lepiej dojrzeć: patrzał uważnie, długo... potem szybko wbiegł do domu.

— You! — zawołał — You! bierz zapaloną głownię z ognia i przynieś mi ją tu!

Mały You nie pojmował do czego dziadkowi potrzebny ogień, ale przywykł był słuchać więc natychmiast chwycił zapaloną głownię. Dziadek porwał za drugą i pobiegł do najbliższej plantacji.

You zdziwiony biegł za dziadkiem. Jakież jednak było przerażenie chłopca, kiedy ujrzał dziadka, ciskającego płonącą żagiew w środek plantacji.

— O! dziadku! — wołał. Co robisz?

— Prędzej, prędzej! Rzucaj twoją również! Prędzej, podpalaj plantację!

You przypuszczał, że ukochany dziadunio nagle zwarjował i zaczął rozpaczliwie płakać. Ale mali Japończycy słuchają zawsze ślepo; więc i You łkając, cisnął płonącą głownię w środek plantacji. Olbrzymi płomień ogarnął suche łodygi i wiechy, a słup czarnego dymu wzniósł się ku niebu. Płomień ślizgał się, rozszerzał z błyskawiczną szybkością od jednego pola do drugiego, obejmując wszystko, pożerając drogocenne zbiory.

Z doliny włościanie, ujrzawszy pożar, podnieśli wielki okrzyk zgrozy. Z wielkim pośpiechem pędzili ku zboczom górskim. Ani jedna żywa istota nie pozostała w domu.

Starcy nawet drapali się w górę; nawet matki, z zawieszonymi na plecach dziećmi według krajowego zwyczaju,

A kiedy znaleźli się na takiej wysokości, że mogli ogarnąć okiem bujne plantacje, objęte strasznym żywiołem, zaczęli krzyczeć przeraźliwie.

— Jak się to stało? Skąd powstał pożar?

— Jam to sprawił; jam podłożył ogień!—rzekł stary z powagą.

A mały You, łkając potwierdził:

— Tak, to dziadunio podpalił!

Otoczono ich kołem; tłum zaciskając pięści złowieszczo postępował ku staremu, krzycząc:

— Dlaczego sprawiłeś to spustoszenie?

Stary odwrócił się i wyciągając ramię w kierunku widnokręgu.

— Patrzcie! — rzekł.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli we wskazanym kierunku.

Turkusowe morze stało się ołowiane, olbrzymia masa wód podnosiła się, jakby ogromna ściana pomiędzy ziemią, a niebem.

Wszyscy struchleli i wstrzymali oddech; tak przerażającym był ten widok.

Chwila oczekiwania... wszystkie serca biły przyśpieszonym tętnem... ściana zbliżała się ku wyspie, wpadła na brzeg, uderzyła z piekielnym łoskotem o dolną ścianę górską. Jeszcze jedna olbrzymia fala... i jeszcze jedna... a potem nic, nic... prócz wody i wody, jak okiem sięgnąć.

Wioska zniknęła z powierzchni ziemi.

Wieś zburzona była, nie istniała już; wszyscy jednak mieszkańcy uratowani zostali. Zrozumieli teraz dopiero czyn starego; pojęli, że tylko jego niesłychanej przytomności umysłu zawdzięczają swoje ocalenie.

Jak psy uratowały djamenty.

(Przygoda w Afryce).

Mateusz, wierny urzędnik Towarzystwa Zbierania Djamentów, przeliczał je właśnie i wrzucał do skórzanego woreczka. Był to owoc miesięcznej pracy, po który miał się, jak zwykle, zjawić nazajutrz inspektor wymienionego towarzystwa. Mateusz zadowolony z miesięczengo plonu zapieczętował woreczek i schował do żelazem okutej skrzynki, która stała u wezgłowia jego łóżka. Skrzynkę tę zamknął troskliwie, a schowawszy kluczyk od niej w kieszonkę u paska, który stale miał na sobie, zapalił fajeczkę, podszedł do okna i mimo zapadającego zmroku wzrok jego dokładnie odróżniał pola djamentów, które ciągnęły. się daleko po rzękę Oranje (południowa Afryka).

Gdy noc zapadła, zapalił lampę i rozpoczął swą codzienną przechadzkę wieczorną, aby się przekonać, czy drzwi od podwórza zamknięte, ponieważ okolica ta obfitowała w bandy zbójeckie, które napadły podróżnych i odosobnione domki. Potem wypuścił na wolność swoich czworonożnych stróżów, którzy cały dzień spędzili w zamknięciu, aby nie uciec z tęsknoty do siedziby Towarzystwa Zbierania Djamentów, dotychczasowego ich miejsca zamieszkania.

Stróżami tymi były śliczne psy owczarskie o ślicznej długiej sierści i pysku do wilka podobnym. Inspektor Towarzystwa Zbierania Djamentów, chociaż przywiązał się bardzo do swoich ulubieńców, oddał je Mateuszowi, bo wiedział, że on potrzebuje ich wiernej opieki w osamotnieniu swojem, oraz że Mateusz będzie dla nich dobrym panem. Odwiązane psy rzuciły się radośnie ku Mateuszowi i przymilały się o kąsek jaki. Pieszczotliwie poklepał je nowy pan mówiąc: „Wiem, wiem, że głodne jesteście, ale dopiero nad ranem wam dam dobry poczęstunek, bo gdybym was teraz nasycił, to jeszcze zasnąć byłybyście gotowe, a dzisiejszej nocy mianowicie gorliwie należy wam czuwać".

Powróciwszy do swojej izby, wkrótce zasnął. Śniło mu się, że został mianowany dyrektorem Towarzystwa Zbierania Djamentów, że otrzymał urlop i mógł pojechać do swej ojczyzny, gdzie czekało na niego pewna dobra i ładna blondyneczka, córka nauczyciela, którą znał jeszcze z lat dziecinnych, kiedyto wspólnie różne zioła zbierali, rodzicom pomagali w pracy w ogródku i wspólnie płatali figle. On był biedny i ona była uboga, zatem postanowił Mateusz wyjechać z ojczyzny, aby zaoszczędzić grosza w południowej Afryce i z niemi dopiero powrócić do ukochanej.

Sen Mateusza nie był spokojny, przerywał go ryk hjen i szakali dotąd zdala uszu jego dolatujący, a biedni jego głodni stróże pilnie wszystkie kąty przebiegali obwąchując je w poszukiwaniu żeru.

Na krótko przed wschodem słońca zbudziło Mateusza straszne wycie jego opiekuńczej sfory. Chwilę nasłuchiwał i wyraźnie już słyszał tentent kopyt końskich. Zdawał sobie od razu sprawę, iż to najazd nieproszonych gości, zatem zerwał się śpiesznie, spojrzał na zegarek, który go upewnił, w jego strasznem przypuszczeniu.

Na przyjazd inspektora była to pora zbyt wczesna, a zatem przygotować się trzeba do obrony. Cichutko przysunął się do okna, przez które ujrzał czterech jeźdźców, a z nich każdy miał przy sobie małą skrzyneczkę. Wątpliwości już teraz nie miał żadnej, bandytom należało dać odprawę. Postanowił walczyć do ostatniego, a djamentów nie wydać złoczyńcom.

— Szybko, szybko, Mateuszu, nie ociągajcie się, otwierajcie zaraz drzwi, albo wyrzućcie swój cenny worek nam oknem, a my zaraz dalej podążymy. — Tak nawoływał herszt bandy, a któryś z towarzyszy jego dodał:

— Poddaj się dobrowolnie, jeżeli nie chcesz byśmy bramy wysadzili.

— Róbcie co chcecie, ja także obronić się potrafię — odpowiedział Mateusz.

— Niech będzie jak mówisz, ale dajemy ci jeszcze dziesięć minut do namysłu — wołał herszt — dłużej ani sekundy nie czekamy.

Dziesięć minut czasu, każda dla Mateusza tak cenna, — co robić, aby skarb uratować, — przemyśliwał. Wydobył worek ze skrzyni, rozejrzał się po izbie, ale żadnej dla niego schówki nie dostrzegł.

Wtem jakaś myśl błysnęła mu, uderzył się w czoło wybiegł z izby i pospieszył w podwróze. Coraz żałośniej skomlały tu biedne wygłodniałe psy. Mateusz wpadł do małej komórki, gdzie wisiały dwie połacie słoniny, szybko zerwał jedną z nich, a dobry psi węch wyczuwszy słoninkę, zwabił całą sforę do Mateusza, który nie mógł się opędzić ich nadskakiwaniu. Szybko sięgał do worka, a odrywując kawały słoniny, wsuwał w nie błyskawicznym ruchem tak przez bandytów pożądane kamienie, które zgłodniałe psy wraz ze słoniną chciwie połykały. Ich apetyt był dla Mateusza zbawionym. Właśnie ubiegała dziesiąta minuta, bandyci u wrót czatujący poczeli się niecierpliwie dobjać, krzycząc:

Dok. nast.

Jesień.

Ciepłe lato ustępuje. Po ugorach i sośniakach zaróżowiły się wrzosy — nazwę swą miesiącowi, w którym kwitną, dając — i oto nadszedł wrzesień. Chwila to obrachunku z ludźmi.

Pracowałeś człecze — to będziesz brał z sadów krasne jabłka, złociste gruszki — będziesz trząsł śliwki fioletowe. Pracowałeś, to na twem polu wzniosą się sterty — to twe stodoły pełne będą pszenicy, żyta, piwnica — jarzyn przeróżnych.

Ziemia odda ci w czwórnasób to ziarno, jakie w nią kładłeś— zapłaci sowicie za pot, jakim ją skrapiałeś.

Toż i wesoło temu, kto w obruchunku dużą sumę otrzyma, toż bez trwogi czeka zimy i mówi sobie:

— I dla mnie starczy i drugiemu dam jeszcze.

A na tę chwilę obrachunku, na to wytchnienie po znojnej pracy ziemia stroi się godowo Jaskrawą barwą płoną lasy, a złoto i czerwień w nich przeważa, iście jak na szatach królewskich.

Wrzesień w drugiej zwłaszcza połowie, to chwila ukojenia w naturze. Strumienie i rzeki płyną spokojnie i wody swe czyszczą tak dobrze, że w dni słoneczne widać ryby, cicho sunące w głębi.

Jesienne odloty tych ptaków na dobre już się zaczęły, a jeden z pierwszych opuścił nas skowronek. Umilkły już wesołe klekoty bocianów i żórawie długim kluczem wywędrowały na południe. Zniknął bez śladu śpiewający drobiazg ptaszęcy. W lasach zaległa uroczysta cisza przerywana czasem stukaniem dzięciołów. Tu i owdzie spadnie liść żółty. Ukośne promienie słońca grają całą gamą kolorów. Piękny jest las w jesieni.

A tymczasem dnia nieznacznie, lecz wciąż ubywa i chłód nocami nie na żarty odczuwać się daje.

Mgły też coraz gęstsze schodzą na ziemię i okrywają ją białym, chłodnym welonem, i nieraz rankiem lub wieczorem pola i lasy stoją, jak zanurzane w topieli srebrzystej.

Niestały i kapryśny jest wrzesień.

Początek jego znaczą najczęściej chmury deszczowe i chłodne wichry z północy. Deszcze skropią ziemię, wiatr wychłodzi, wyczyści powietrze i miła ta parka powędruje sobie dalej.

— „Z Bogiem! z Bogiem! moi państwo. Nam słońca, nam uśmiechów potrzeba“.

A potem — ni stąd ni zowąd — wyjaśni się, ociepli i drugie lato nadchodzi.

Babie lato.

Żal mu było widocznie opuszczać ziemię, więc zawróciło z drogi i na pożegnanie darzy nas miłem ciepłem i pogodą.

Odrazu robi się wtedy wesoło. Drobne pajączki gorliwie snuć zaczynają swą przędzę srebrzystą i snują od drzewa do drzewa, od chaty do dworu, od krzaka do krzyża pochyłego — nić cienką, a długą, świecącą...

Zupełnie jakby chciały wszystko i wszystkich związać razem. To nie dla was robota, robaczki wy moje, nie dla was..., bo oto wiatr się chłodny zrywa i rwie nić cieniuchną i w powietrze ją niesie hen... hen... .

Przyjdzie zima, ta sroga pani lodowa. Zakuje w pancerze lśniące zwierciadła wód. Przykryje ziemię białym puchem. I staną drzewa ogołocone z liści, wyciągając swe czarne ramiona tam w zwyż... tam hen... daleko...

I uśnie przyroda.

Nadesłał **Zefir.**

Liścik od Zefira.

Kochana Iskierko!

Już przez dłuższy czas czytywałem „Światek Młodzieży“. W każdy piątek z radością biegłem do gazety, ażeby jak najprędzej móc chwycić Światek i przeczytać od deski do deski. Lecz nie miałem dotąd śmiałości napisać coś do niego. Lękałem się, że kochana Iskierka majac tylu innych korespondentów, nawet nie zwróci uwagi na mój list. Jako pseudonim pragnąłbym obrać sobie „Zefir“, gdyż bardzo lubię ciepłe podmuchy swawolnie igrającego Zefiru. Przysyłam opis jesieni i proszę, o ile będzie można i o ile kochana Iskierka będzie taka łaskawa, o umieszczenie go. To moją radością będzie, gdy zobaczę, że moja praca, choć nie bardzo dobra, nadaje się do druku. Lubię bardzo jesień ze wszystkimi jej powabami. Nieraz siadałem pod drzewem, w zamyśleniu, a koło mnie spadały liście, ścieląc się żółtym kobiercem. Jesień nastraja duszę człowieka na jakąś uroczystą nutę. Lubię wieś i chętnie na niej przebywam.

Pozdrawiam kochaną Iskierkę i wszystkich korespondentów Światka i polecam się łaskawej pamięci kochanej Iskierki.

Zefir ucz. IV kl. gimn.

Smutno mi!..

Świat cały w barwnej sukmanie,
Jak słońce błyszczy w swej zieli;
Lecz duszy mojej łkanie —
Radości tej nie dzieli...

Wciąż jak na harfie słyszę
Drogie mi imię Jego;
A wiatr drzewami kołysze
A mnie coś ciągnie do Niego...

I siłą jakąś gnana,
Idę gdzie ta mogiła
Wieńcami kwiatów zalana,
Tak cicha, jakby śniła...

O! Boże wielki Boże,
Srogoś mnie dotknął, srogo
Czyż śmierci nic nie zmoże?
Czyż nad nią nie masz nikngo?!

Błyskawica

Odpowiedzi od Redakcji.

Makowi. Wierz mi mój drogi, że naprawdę 2-ch Twych listów nie otrzymałam i dlatego tylko nie było do Ciebie odpowiedzi. Przykro mi niewymownie i wytoczę o to sprawę, gdzie należy. Za serdeczny liścik dziękuję.

Błyskawicy. Twój wierszyk i liścik, tchnący takim wielkim smutkiem i tęsknotą po drogiej Istocie, co przedwczesnie w lepsze krainy odeszła — wzruszył mnie do głębi, i proszę, przyjm moje serdeczne dla Ciebie współczucie! Cieszę się, że polubiłaś mnie i masz do mnie zaufanie. Zawsze, gdy ogarnie Cię smutek, pisz, a ja myślą serdeczną będę z Tobą. Jak to szczęśliwie, że chociaż masz taką dobrą i dawną, tak cię kochającą, koleżankę!

Samocierniowi. I ty narzekasz, że na liściki nie odpowiadam, a a wcale ich od Ciebie nie otrzymywałam! Zapytujesz, gdzie ta dawno zapowiedziana skrzynka do Waszych listów? Postaram się, aby ją jak najprędzej zawieszono dla porządku. Zajmujący Twój pierwszy liścik z zajęciem czytałam.

Zefirowi. Sami nowi dzisiaj korespondenci, co za szczęśliwy dzień! Ładnie opisałeś „Jesień", ale czy naprawdę samodzielnie? Sądząc po Twym zgrabnym liściku, nie należy wątpić. Pisz często, kochany, figlarny Zefirze, co obok tego i tak poetycznie myśleć umiesz.

Mazepie. Nie spodziewałam się wcale, że tak trafnie odgadłam, co do klasy w której jesteś! Dokończenie powiastki otrzymałam. Przeczytam uważnie i dopiero przekonamy się czy nadaje się do druku.

Tucholskiej Puszczy. Chętnie przyjmuję i Ciebie do grona korespondentów. Pseudonim dobry, mamy już pokrewny Twemu „Bór Tucholski". Wycieczki swoje opisz, to może ujrzysz je w Światku, który tak polubiłaś, Puszczo. 15 tys. za wysłane n-ry otrzymaliśmy. Adresuj zawsze listy do mnie i dodawaj „Światek Młodzieży".

Kalinie. Niestety tym razem nie tak Ci udało się, jak pierwszym Ale nie zrażaj się bynajmniej, kochana Kalino.

Stokrotce w Samborze. A więc nie zapomniałaś o nas, choć jesteś tak daleko! kochana moja Stokrotko. Opis — z jaką radością witasz tam „Światek", który kuzynka przesyła, ogromnie mnie cieszy. To o co prosisz, mogłabym opisać Ci tylko prywatnie, nie w tem pisemku, ale na to, droga Stokrotko — nie mam czasu, niestety. Za obszerne wiadomości o sobie, o twej nauce, o szkole bardzo dziękuję i proszę odezwij się od czasu do czasu.

Pomidorowi. Oj, panie Pomidorze, apetyczną nazwę obrałeś sobie, ale w Twojej czerwonej główce to — siedzą tylko same pestki... Wierszyk i bajka nie mają ani za 3 gr. sensu.

Sępowi. Oj ptaku drapieżny, Sępie, mimowolnie zdradziłeś swój charakter... bo piszesz: Ponieważ Światek ma tak dużo i coraz więcej korespondentów, a czytelników to miljony to i ja pragnę zapisać się w poczet tych pierwszych. A gdyby, kochany Sępie, ten nasz Światek był nie tak w Was bogaty, a biedniejszy, to, to wtedy znaczy, że opuściłbyś go i zapomniał, czy tak? Oj! rzeczywiście, że w biedzie trudno bardzo o przyjaciela, a w bogactwie to ich pełno!.. Za karę, że możesz tak myśleć... wrzuć dużo do puszki kwestarki w Niedzielę, która będzie stała na rynku przy aptece...

Iskierka.

Drukarnia Pomorska T. A., Grudziądz